

Głodna Brytania

6 grudnia 2013

Brytyjski rynek pracy nigdy nie miał się gorzej niż w latach 1930. Wielki Kryzys był czasem głodu, nieustannego strachu o jutro i ogromnego – tak piszą o nim historycy z Wysp – bezrobocia. To „rejestrowane” przekraczało 20 proc., czyli było mniej więcej takie, jak w Polsce AD 2004.

Podobieństw było zresztą więcej, ale o nich później.

Lata 1930. w Wielkiej Brytanii zaczęły się od ogromnej tragedii. Jedną z najpopularniejszych rozrywek było wówczas kino. W lepszych tygodniach na widowniach w całym kraju zasiadało nawet 13 mln osób. Gros z nich to były dzieci, które wpuszczano na seanse taniej i pozwalano im siadać, gdzie popadło.

Specjalnie dla nich organizowano popołudniowe seanse. Jeden z nich odbył się w kilnie Glen w szkockim Paisley w sylwestra 1929 r. Sala była pełna. Choć powiedzenie, że pełna, to mało. Zajęte były wszystkie miejsca. Do tego dzieciaki, które nie zdążyły kupić normalnego biletu albo nie miały na niego pieniędzy, siedziały także na schodach.

W czasie seansu zapaliła się taśma nitrocelulozowa. Dym i ogień, który pojawił się chwilę później, wywołały panikę. Część dzieci rzuciła się do toalet, gdzie wybijały szyby i wychodziły na zewnątrz przez okna. Inne pobiegły do wyjść ewakuacyjnych, które znajdowały się na dole sali. Te jednak nie tylko otwierały się do... wewnątrz, ale też były zamknięte i zabezpieczone kłódkami. Uciekający nie tylko się dusili, ale też tratowali. Gdy strażakom udało się ugasić pożar, wewnątrz znaleziono 70 ciał. Najstarsza z ofiar miała 13 lat. Najmłodsza 18 miesięcy.

Pogrzeb odbył się 4 stycznia i znaleźli się później tacy, którzy uznali, że zapowiadał to, przez co Brytyjczycy mieli

przejsć w pierwszej połowie lat 30., które były najtrudniejszym okresem ostatnich 200 lat na Wyspach. Polscy emigranci, zwłaszcza ci, którzy wyjechali z kraju nad Wisłą w pierwszej połowie „wspaniałych” lat 2000, nie powinni mieć problemu z wczuciem się w ówczesne brytyjskie realia. Wprawdzie było tam wtedy gorzej niż 70 lat później u nas, ale tylko trochę.

MNIEJSZY DRAMAT, ALE DRAMAT

Wielki Kryzys uderzył w brytyjski rynek pracy słabiej niż w amerykański, niemiecki lub polski. Ale uderzył. W rozsypkę poszedł przemysł ciężki i stoczniowy, które pociągnęły za sobą górnictwo oraz włókiennictwo. Za nimi – gdy ludzie stracili źródła przychodów – posypało się wszystko inne. Handel, usługi, produkcja wszystkiego, co nie było do życia niezbędne.

W niektórych regionach bezrobocie sięgało 70 proc. Tak było np. w Jarrow, z którego (ale to już w 1936 r.) odbył się słynny marsz. 207 osób przeszło w nim piechotą ponad 480 km dzielących je od Londynu, by domagać się pomocy dla pogrążonego w nędzy miasta. To – wprawdzie dopiero po dwóch latach, ale zawsze – przyniosło oczekiwane efekty i zadbano, by w Jarrow znalazło się kilka nowych zakładów przemysłowych.

Miejsc, w których byłoby aż tak źle, nie było wiele. W większości bezrobocie rejestrowane oscylowało wokół 20 proc. (mniej więcej taka była też średnia dla całego kraju). A w Londynie i na południowym wschodzie było „zaledwie” kilkunastoprocentowe. Stephen Constantine wspominał o 13,5 proc. w tej części kraju, czyli poziomie podobnym jak w Polsce... dziś.

Mimo to nie brak dramatycznych historii, bo i te 20 proc. to społeczny dramat.

WIELKI GŁÓD

„The Pilgrims Trust” szacował, że około połowa członków rodzin

bezrobotnych nie była w stanie zapłacić za jedzenie. Zasiłki nie zawsze pomagały, bo po pierwsze trzeba było je mieć, a po drugie starczały np. na to, by dziecko wypić szklanek mleka raz dziennie. I tyle. Dlatego głód był w wielu miejscach codziennością.

Julie Gardiner, autorka wspaniałej monografii „The Thirties”, opisała historię pewnej 37-latki z południowo-wschodniego Londynu. Kobieta nazywała się Annie Weaving i jej mąż nie miał pracy. To oczywiście wtedy nie było niczym wyjątkowym. Wychowywali siedmioro dzieci, w tym dwójkę sześciomiesięcznych bliźniaków. Musieli je oraz siebie utrzymać za 48 szylingów zasiłku.

„(Weaving – tb) robiła to sama, obchodząc się bez jedzenia” – pisała Gardiner. Aż jednego dnia w 1933 r., podczas kąpania maluchów, Annie Weaving zemdląła i zmarła. Bezpośrednim powodem śmierci było zapalenie płuc, ale – znów oddajmy głos autorce „The Thirties” – „koroner stwierdził, że gdyby nie wygłodzenie, choroba nie zabiłaby kobiety”. Był to przypadek skrajny, ale wcale nie nietypowy, a historie o głodzie i niedojadaniu można mnożyć i wszystkie są do siebie podobne. – Po opłaceniu czynszu, rat, światła, węgla i gazu zostawały 2 funty i 11 szylingów (przeliczając wartością siły nabywczej, dziś byłoby to niewiele ponad 100 funtów), żeby utrzymać dom, ubrać dwoje dorosłych, jednego nastolatka i troje dzieci i zapewnić inne niezbędne rzeczy dla ośmiu osób – wspominał 47-letni malarz pokojowy, który na zasiłek nie mógł liczyć, bo zarabiał wystarczająco dużo, by odpowiednie służby uznały, że jego rodzina nie jest w potrzebie. Mówiąc krótko: miał za dużo, żeby umrzeć, ale za mało, żeby żyć. Brzmi znajomo, prawda? Ten sam mężczyzna opisywał: „Podstawowy artykuł w naszej diecie to chleb. W następnej kolejności jest margaryna i moje doświadczenie jest takie, że dzieci wolą ją od smalcu”.

PRACA I „STAŻE”

Malarz pokojowy miał jednak trochę szczęścia. Miał pracę i to

taką, w której płacili ponadprzeciętnie dobrze, bo zarabiał ponad 4 funty, czyli przeliczając na dzisiejszą wartość pieniędzy – jakieś 200 funtów tygodniowo. Wielu takiego szczęścia nie miało, bo o pracę było trudno, a w wielu zawodach nie było jej w ogóle. W najgorszej sytuacji byli ludzie po pięćdziesiątce i młodzież zaraz po szkole. Choć ta druga mogła liczyć chociaż na dwa lub trzy lata zatrudnienia za grosze albo... staże.

Mogła liczyć, ponieważ było wówczas tak, że szkołę kończyło się, mając lat 14. A do ukończenia 18. roku życia pracodawca nie musiał za takiego człowieka odprowadzać składek na ubezpieczenie społeczne. Gdy tylko zaczynał go kosztować więcej, natychmiast tracił pracę. (Na marginesie: zupełnie jak w Polsce wczoraj i dziś robi się ze studentami, których można zastąpić kolejnymi studentami zatrudnianymi na umowę zlecenie).

A i staże zwykle udawało się dostać tylko po znajomości. „Mój ojczym znał majstra, dlatego dostałem pracę” – opisywał Charles Graham z South Shields i opowiadał, jak było na budowie: „Wielu uczniów było wykorzystywanych jako tania siła robocza. Zatrudniano ich jako »stażystów« i wszystko, co robili, to było jeżdżenie z taczkami i podawanie cegieł. A kiedy budynek kończono, zwalniano ich. Zanim jeszcze nauczyli się czegokolwiek, co mogliby wykorzystać”. Podobnie było też w innych zawodach, w których nauczyciele nie chcieli wychować sobie konkurencji. Nie uczyli więc nikogo.

PIES W WANNIE

Szczęśliwi mogli być ci, którzy mieli pracę. Ale w miarę zadowoleni – bo mniej głodni – mogli być i ci, którym udało się dostać zasiłek. Pomagano bowiem dość wybiórczo. Kryzysowy budżet domykał się z trudem i wciąż pokutowało przekonanie, że metodą na gospodarcze załamanie są oszczędności, które jednak tylko pogłębiały zapaść, bo jak bardzo ludzie by się nie starali, żeby „wziąć się w garść”, to i tak niewiele mogli

zrobić. Nie mogli, bo pracy nie było, a klienci nie mieli pieniędzy. (To także skądś znamy). Stosowano wiele ograniczeń i na przykład jeżeli ktoś pracował na część etatu, to po utracie pracy nie mógł liczyć na pomoc. Nie mógł na nią liczyć także, jeżeli w rodzinie ktokolwiek miał dochód. To, czy ma ochotę się nim dzielić i łożyć na utrzymanie rodziców i sióstr lub braci, nie miało już żadnego znaczenia. By to kontrolować, stosowano tzw. Means Test i zatrudniono tysiące urzędników.

Rzecz polegała na tym, że wyznaczone osoby śledziły bezrobotnych i ich rodziny („Były to na ogół bardzo aroganckie typy” – da się dość często przeczytać we wspomnieniach z tego okresu). Kontrolowano dochody tych, którzy je mieli, i urzędnicy zjawiali się np. co tydzień w działach kadr, dopytując o to, ile zarobili ojcowie bezrobotnych dzieci. Gdy za dużo – odbierano lub zmniejszano zasiłek ich synom oraz córkom. Nachodzili ich także w domu, sprawdzając, czy nie mieszka z nimi ktoś, kto ma jakieś pieniądze. Zaglądali przez okna i dziurki od kluczy. Wchodzili bez pukania. Szukali zapasów jedzenia. Sytuacje bywały zabawne. Albo raczej byłyby zabawne, gdyby nie były osobistą tragedią tych ludzi.

Popularnym sposobem obchodzenia prawa były fikcyjne wyprowadzki połączone ze zrywaniem rodzinnych więzów. Tak zrobiono na przykład w domu Beatrice Wood z południowej Walii. Oficjalnie jedyny mający pracę brat wyniósł się od rodziny. W rzeczywistości jednak nadal żył tam, gdzie wcześniej, i trzeba było go ukrywać, co nie było proste.

„The Means Test man przychodził, gdy najmniej się go spodziewałeś – wspominała Wood. – Jednego dnia zjawił się, kiedy mój brat kąpał się w wannie ustawionej przed kominkiem. Brat wyskoczył z niej mokry i goły i schował się w spiżarni. Nie mieliśmy czasu ukryć wanny, więc matka, spokojna jak nigdy, złapała psa i wrzuciła go do wanny, udając, że to jego kąpaliśmy. Kiedy otworzyliśmy drzwi, pies wyskoczył i otrzepał się na kontrolera. Było jak w komedii”.

Mimo tych obostrzeń ludzie sobie radzili. W czasie Wielkiego Kryzysu z opieki społecznej w różnej formie skorzystało około 13 mln osób. Mimo wszystko Wyspy miały sporo szczęścia, bo kryzys nie był aż tak wielki jak w USA i Niemczech (co niektórzy tłumaczą tym, że zaczął się zaraz po I wojnie światowej i tylko pogłębił zapaść, a ludzie mieli czas się do takiego życia przyzwyczaić). Znaczenie miało i to, że gdy się zaczynał, rządzący laburzyści, którzy wciąż jeszcze wierzyli w zasady demokratycznego socjalizmu i próbowali złagodzić jego skutki dla robotników, a nie tylko dla najbogatszych. Dość szybko uznali za wywrotowe te idee, które gdzie indziej uznawano za wywrotowe.

RACJONALIZACJA KONTRA POPYT

Politycy chcieli problemowi zaradzić, ale jak to politycy – nie wiedzieli jak. Podstawowy spór o to, co robić, do złudzenia przypominał to, co mówi się dziś. Z jednej strony znajdowali się obrońcy „racjonalizacji”, którzy mówili, że metodą na kryzys jest cięcie kosztów pracy, czyli wynagrodzeń, i zamykanie nierentownych zakładów, by „rynek” mógł stworzyć nowe. Mówili też, że roboty publiczne „rozdystrybuują” bezrobocie, a nie zmniejszą je. To oni długo mieli przewagę, ale ich metody były nieskuteczne.

Dlatego coraz bardziej słuchano drugiej strony, która mówiła, że im bardziej się oszczędza i tnie, tym ludzie mają mniej pieniędzy i mniej kupują. Byli tu także liberałowie i bankierzy, którzy rozumieli, że jak jest biednie, to wszystkim trudniej jest zarabiać. Taki np. Reginald McKenna, poważany finansista i polityk, tłumaczył: „Gdy w obiegu jest więcej pieniędzy, to ludzie kupią więcej butów, wtedy więcej osób zostanie zatrudnionych przy produkcji butów, a ich pieniądze zostaną wydane na ubrania, co wykreuje zatrudnienie w przemyśle włókienniczym, i tak to się będzie działo”.

I działo się, bo kiedy keynesowskie metody zastosowano w USA, świat zaczął wychodzić z kryzysu. Nie inaczej było zresztą w

Wielkiej Brytanii, gdzie roboty publiczne pozwoliły podnieść się zawsze biedniejszej północy, a odejście od standardu złota i obniżenie stóp procentowych z sześciu do dwóch procent dało impuls do mieszkaniowego boomu na bogatszym południu. Ponieważ do domów trzeba kupować różne rzeczy, w miejsce przemysłu, który upadł, szybko zaczęły powstawać nowe fabryki.

Autor: Tomasz Borejza

Źródło: [eLondyn](#)